

Będę potrzebował, a po mnie przyszedł



Kuźnik, Mateusz Sitko, Krzysztof Klon, Szymon Piechaczek

Do akcji ruszają w pięciu. Obowiązuje zasada: Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jak któryś słabnie, wycofują się wszyscy. Nie zostawia się kolegi samego. Drużyna musi być w komplecie. Każdy ma na plecach aparat tlenowy i dużo dodatkowego sprzętu. Często dźwiga około 30 kilogramów. Temperatura otoczenia miejscami wynosi ponad 28 stopni Celsjusza. Zagrożenie metanowe. Zagrożenie łąpaniami wtórnymi. Woda. W miejscu, w którym był chodnik, została wąska szczelina. Trzeba się przez nią przecisnąć. Czasem jest tak wąsko i nisko, że trzeba zdjąć z pleców aparat tlenowy i pchać go przed sobą.

Co będzie, gdy szczelina się zaciśnie? Możliwe, że już nic nie będzie. To problem zastępowego. On wydaje komendy, on decyduje o tym, czy można iść dalej, czy nie. Ocenia ryzyko. Pozostali czterej mają łatwiej. Wystarczy wykonywać rozkazy zastępowego. Jak najmniej myśleć o zagrożeniu, działać racjonalnie, bez paniki. Uczucie lęku wykorzystywać do mobilizacji i do wzmożenia chęci przeżycia. Nie wolno spanikować ani dać się sparaliżować przez strach.

Modlić się? Tak! To pomaga. Często są to modlitwy obrazoburcze. Jezus Maryja, kurwa mać... To nie przekleństwo. To nie bluźnierstwo. To może być modlitwa

mobilizująca. Jak człowiek idzie ratować innego człowieka, nie ma siły na zabawę w dobre obyczaje, odświętną pobożność. Opatrzność czuwa.

Wyszkolenie powoduje, że wszystko jest automatyczne. Nie myśli się o śmierci. O niczym się nie myśli, tylko o tym, aby iść do przodu. Od myślenia jest zastępowa. On ma ogarniać wszystko, co dzieje się w rejonie działania zastępy. Jak przeszarżuje, może zginąć któryś z kolegów. Jak będzie asekurantem, można stracić cenny czas. Ktoś umrze. Kolejność jest jasna – najpierw bezpieczeństwo zastępy, potem reszta. W normalnych warunkach to, co dla ratowników jest bezpieczne, byłoby uznane za brawurę. Prawie kilometr pod ziemią, w każdej chwili może być wybuch, woda, sytuacja niewyobrażalna dla przeciętnego człowieka.

TO NIE JEST FILM

Nie mogą działać tak, jak działają strażacy na filmach katastroficznych. Jest sygnał, zjeżdżają po rurze i gnają na ratunek, biegają wśród płomieni. Nic z tych rzeczy. Zanim ratownicy górniczy wejdą do akcji, musi być podstawowe rozpoznanie. Czy najbliżsi też wyobrażają sobie ich pracę jak film katastroficzny?

– Ja jestem ratownikiem w trzecim pokoleniu. Mój dziadek był ratownikiem, mój ojciec był ratownikiem, dlatego rodzina ze spokojem przyjęła informację o tym, że dostałem się do zastępy – mówi Damian Kuźnik. – O akcji w zasadzie nie rozmawiałem z nikim. Jedynie z ojcem, pod sam koniec poszukiwań zaginionych górników – dodaje. Czy akcja wpłynęła na jego rodzinę? – Chyba żona zaczęła rozumieć górnictwo i tradycję rodzin górnich. Największe wrażenie zrobił na niej film z zaciśniętego chodnika. Na jednym z ujęć w niespełna półmetrowej szczelinie, między pogiętym żelastwem, czołgał się ratownik – mówi Damian Kuźnik.

– Ojciec odradzał mi górnictwo, choć sam był górnikiem. Nie był zadowolony, że zaczynam pracę w kopalni. Gdy powiedziałem, że będę ratownikiem, odniosłem wrażenie, że jest ze mnie dumny. Przyjął to ze spokojem – mówi Mateusz Sitko. Trafił do kopalni przez piłkę nożną. Grał w drużynę z ratownikami górnymi. Oni namówili go do pracy w kopalni i do wstąpienia w szeregi ratowników. – Nie wiem, jak to się stało, ja przecież chciałem tylko z nimi grać – mówi Mateusz Sitko.

– Ojciec był strażakiem. Ratował ludzi. Był dumny, kiedy powiedziałem, że będę ratownikiem górniczym. Mama dowiedziała się później. Przypadkowo. Była akcja po wstrząsie, zostałem wezwany i wydało się. Nie było dramatyzowania. Oczywiście, rodzice obawiają się o mnie, ale widać, że rozpięta ich duma – mówi Szymon Piechaczek.

– Ja nie mam problemu. Gdy poznałem się z moją partnerką, byłem już ratownikiem. Nie musiałem się zastanawiać, jak to powiedzieć. Powiedziałem normalnie. Natomiast lęk jest. Pamiętam akcję w Krupińskim. Miałem wyjechać około godz. 15. Wyjechałem około 22. W radiu i telewizji informowali o tym, że stracono kontakt z dwoma ratownikami. Utrata kontaktu to bezpośrednie zagrożenie śmiercią. Wyjechałem, wysłałem wiadomość, że idę się kąpać. Strach minął. Jednak przy tej akcji sytuacja jest inna. Mamy małego syna. Jola powiedziała mi, że teraz to już inny rodzaj lęku. To także lęk o przyszłość naszego syna – mówi Damian Lis.

– Nie nalegała, żeby pan zrezygnował z ratownictwa? – zapytałem.

– Nie. Ryzyko jest na drodze, w podróży i w kopalni. Przed przeznaczeniem się nie ucieknę – odpowiada.

Matka Krzysztofa Klona zapytała tylko: Po co się tam pchasz?

SENSACJA? NIE, CODZIENNOŚĆ

W każdej cudownej historii związanej z katastrofą górniczą dziennikarze szukają czegoś, co odkryje tajemnicę woli życia i przetrwania, co pokaże tragedię rodzin, które straciły najbliższych. Za każdym razem okazuje się, że są to bardzo codzienne przeżycia.

Alojzy Piontek jest symbolem woli przetrwania. W kopalni Mikulczyce-Rokitnica w Zabrze w marcu 1971 roku doszło do zawalu chodnika. Zginęło 10 górników. Piontek

przeżył do nisz, w której czekał na pomoc 158 godzin. O Piontku powstał film dokumentalny, komiks, napisano wiele reportaży. Był bohaterem, który rzadko wychodził ze swojego ciasnego mieszkania. Zapytałem go, czy małe pomieszczenia dają mu poczucie bezpieczeństwa. Powiedział, że tak. Unikał ludzi. Jak nie chował się w domu, przesiadywał na działce. Z biegiem lat stawał się odludkiem. Żył z renty. Nie wrócił pod ziemię.

W kopalni Halemba 35 lat później w podobnych warunkach przeżył Zbigniew Nowak. Też schronił się w ciasnej niszy po tym, gdy łąpanie i wybuch metanu spowodowały zawal chodnika. Po 111 godzinach dotarli do niego ratownicy. Zbigniew Nowak nie unikał ludzi. Rozmawiał z dziennikarzami. Często powtarzał, że myślał o Piontku, kiedy był uwięziony pod ziemią. Co trzymało go przy życiu? Myśl, że jest potrzebny żonie i córce. Na motywach z życia Zbigniewa Nowaka powstał film fabularny „Laura”, wyprodukowany przez TVN. Zbigniew Nowak rozmawiał ze mną wiele godzin. Szukałem sensacji, a on opowiadał o miłości do rodziny, do córki i o tym, że musiał przeżyć, bo został górnikiem po to, aby chorej córeczce było łatwiej w życiu. Tak, został górnikiem dla pieniędzy potrzebnych rodzinie. Nie znalazłem sensacji. Znalazłem codzienność.

BEZ FILOZOFII

Łąpanie w Zofiówce było jednym z trzech najsilniejszych łąpan w polskich kopalniach w ciągu prawie 26 lat. Najsilniejsze było w dawnej kopalni Czeczott. Do porównywalnego doszło w dawnej kopalni Miechowice.

Po katastrofie w Miechowicach wdowa po jednym z górników powiedziała mi, że oddała psa, który zamiast wyc z rozpacz, gdy pan zginął, spał w najlepsze. Tylko na chwilę ocknął się, kiedy blokiem zatrzęsło. Nie widział żadnego sensu w śmierci męża. Ukarła psa, bo nie mogła ukarać nikogo innego za swoją tragedię.

Rozmawiałem z wieloma wdowami po górnikach i ratownikach. W szafach trzymały mundury mężów, kordziki, a nawet górnicze hełmy. Dla nich świat zatrzymał się w dniu, kiedy delegacja z kopalni poinformowała, że mąż nie żyje. Wdowy po ratownikach nie miały do nikogo pretensji. Czasem tylko do siebie, że za słabo walczyły o to, aby mąż poszedł do bezpieczniejszej roboty. Ale czy jest bezpieczna praca, skoro nawet najlepiej wyszkolony ratownik może zginąć w jakimś wypadku samochodowym?

– Po to idę po innych, żeby mieć pewność, że gdy ja będę potrzebował pomocy, to inni przyjdą po mnie – mówią ratownicy z Zofiówki. To wszystko tłumaczy. Nie potrzeba tworzyć wielkiej filozofii. Radość z życia po akcji najbardziej obrazowo opisał mi na początku lat 90. XX wieku jeden z ratowników dawnej kopalni Rozbark. – Napiłem się wody z Bytomki. Smakowała jak najlepsze piwo – powiedział. Bytomka była wtedy bardziej ściekiem niż rzeczką.